Ner 25. Kraków 25 września 1869. Rok III.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel drezdeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku.

Listy należy adresować: do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

SIEJBA.

(Obrazek z naszych okolic).

Zbudzony wschodem słońca, wiedziony nadzieją,
Idzie młodzian na pole, kędy ziarno sieją;
Snadź równa życie swoje do zasianéj roli,
Na której czeka runi. Wtém dwór śród topoli
Zaświecił mu w oddali za wioską, przy borze,
Dwór z gankiem, a na ganku dziewczę jako zorze
Z fartuszka karmi ptastwo — widać gospodarna,
A oblicze wesołe, a sukienka czarna.

Ale oko młodzieńca od niéj się odwraca,
Leci wprost tam gdzie słońce okienko pozłaca,
Gdzie u stóp starych dębów, jak przylaszczki kwiatek
Kwitnie dziewczę i tworzy z ogródka swój światek.
Krasna wstążka otacza włos lśniący i kruczy:
Jakże jéj z tém do twarzy!... Któż to dziewcząt uczy?...

Patrzy na nią . . . i chmurka przebiega mu czoło.
Zabłysnął bór śród topól — i znów mu wesoło.
Kościół stoi przy dworze, kościół go przyzywa . . .
Cóż, gdy tam serce jego na pół się rozrywa!



Układ i rysunek Antoniego Zaleskiego.

Więc myśli sobie: Czemu dla chrześcian jest grzechem
Mieć razem cztéry żony?! Z jakim to pośpiechem
Przez cały maj-bym jeździł, a w każdą niedzielę
Z kolei się oświadczał, — a w piątą.... wesele!
O, dniu błogi, cztérykroć dla mnie uświęcony!
Wprowadziłbym do domu razem cztéry żony!
Krysia, zbudzona piérwsza z jutrzenki zaraniem,
Podoiłaby krówki, czekała z śniadaniem;
Zosia-by na dzień dobry zaśpiewała cudnie,
Pogwarzyła wesoło; — a w samo południe
Marylka, ranne swoje zmówiwszy pacierze,
Przyszłaby mówić ze mną o świecie i wierze;

A ja, na skrzydłach myśli w niebo uniesiony,
Słuchałbym — słuchał — słuchał, w *Różię* zapatrzony!

. . . .

Gdybyż z tych cztérech dziewic, na wzór Praksytela,
Jedna powstała żona w dniu mego wesela!
Ale to być nie może! trzeba mi koniecznie
Jednę wybrać, tę kochać, być jéj wiernym wiecznie...
A więc wolę tymczasem bawić się i zwlekać,
Przewidywać i marzyć... byle *jéj* doczekać.

Gabryela Puzynina.

EPICHARIS

FRAGMENT HISTORYCZNY,

przez

Henryka Filipowicza.

(Ciąg dalszy).

Silnéj potrzeba wyobraźni, by dopełnić w swym umyśle okropny szkic pożaru Neronowskiego, rzucony przez współczesnych historyków. Rzym zgorzał do szczętu. Pożar zaczął się z części cyrku sąsiedniéj z Palatyńskiem i Celijskiem wzgórzami [1]). Sześć dni i sześć nocy, płomień pożerał wspaniałe gmachy, opuszczone przez mieszkańców i zostawione na pastwę niszczącego żywiołu [2]). Co wieki budowały, na co poszły skarby zawojowanego świata, stało się gruzami w godzin kilka. Pałace, świątynie, starożytne pomniki, całe cyrkuły, stały się zdobyczą płomieni. Mieszkańcy opuścili miasto, i zalewali po za miejskie drogi i cmentarze. Chrześcijanie, na których padło podejrzenie że są sprawcami téj strasznéj klęski, kryli się po katakumbach, lub nieśli z niebezpieczeństwem własnego życia, pomoc nieszczęsnym pogorzelcom.

Nakoniec ogień doszedł do krańców miasta, i zatrzymał się, spotkawszy za Eskuiljami czyste pole [3]). Niebezpieczeństwo jednak nie minęło jeszcze. Niezagasłe dotąd iskry, lada wiatr rozniecał, i od czasu do czasu wybuchał płomień, pożerając ostatnie szczątki wiecznego grodu. Na dziesiąty dzień dopiero mieszkańcy powracali płakać na popiołach swych domowych ognisk.

Cezar znajdował się podczas wybuchu pożaru w Ancjum, ulubionéj swéj zamiejskiéj willi. Na wieść że pałace jego i ogrody gorzeją, powrócił do Rzymu, i natychmiast wydał wiele rozporządzeń, dla ulżenia pogorzelcom. Otwarto Marsowe pole, i nieśmiertelne gmachy Agryppy, nadto ogromne sady Cezara. Zarządzono budowanie tymczasowych mieszkań i przywóz z Ostji niezbędnych sprzętów i produktów. Cenę chleba zniżono do trzech sestercji. A jednak Rzym, dotąd czciciel Nerona, i przyklaskujący mu, gdy setki ofiar dla jego zabawy ginęło; przyklaskujący z zapałem jego scenicznym talentom i nieprawdopodobnemu bezrządowi [4]), dziś nie okazał najmniejszéj oznaki wdzięczności dla Cezara. Dobroczynne rozporządzenia Nerona, nie zrobiły na ludzie żadnego wrażenia. Zostawszy bez przytułku, stał Rzymianin złożywszy ręce na piersi, nad gruzami swego ojczystego miasta i podejrzliwie z pode łba spoglądał na pałac Nerona, na wieży którego widział, lub mniemał widzieć postać artysty-Cezara, deklamującego wiersze na zburzenie Troi, i lubującego się strasznym lecz malowniczym zarazem widokiem [5]).

To nie dość: na pamięci Nerona cięży okropne obwinienie o umyślne podpalenie miasta, dla zrobienia sobie przyjemności — widzieć żywe podobieństwo zburzenia Troi. Wszyscy późniejsi historycy podają to za niezawodny fakt, Tacyt jednak o nim powątpiewa [6]). Dla nas jest to podrzędną kwestją. Czy rzeczywiście Neron podpalił swą stolicę, czy tylko szalona jego wyobraźnia, pozwalała mu zapominać o nieszczęściach ludu, i zachwycać się tym okropnym widokiem, w przekonaniu Rzymian. Neron nie był obcy klęsce, która ich dotknęła. Przekonanie to było tak silne, że wydało stronnictwo niezadowolonych, czego dotąd nie było śladu w Rzymie, pomimo całéj tyranii Nerona. Poprzednio zjawiały się jednostki, które na pozór były w systematycznéj opozycji, lecz przedstawiały one indywidualne tylko przekonania, indywidualne interesa. Takim był sławny senator Trazeja Petus, jedyny, nieprzedajny i godny dawnego senatu rzymskiego szczątek. Nie miał on jednak nic wspólnego z przekonaniami ogółu, gdyż ogół nie miał żadnych. Lud znał tylko widowiska i wielkiego ich twórcę; uwielbiał histryjona w dyjademie cezarów; ostatki sił tracił na sromotnych juwenaljach. Tak było przed pogorzelą, tak samo było późniéj. W chwili jednak którą opisujemy, Rzym, jeżeli nie myślał o powstaniu, jeżeli nie podzielił się na dwa obozy nawet, znajdował się w stanie bezwładności, odurzenia, w którém można z nim było robić co się podoba. Od dnia pożaru, w nastroju umysłów, również jak w położeniu rzeczy, zaszła rażąca zmiana. Lud dawniéj wesoły i hulaszczy, dziś z przerażeniem słuchał o urodzeniu się cielęcia z głową na goleniu, o dwugłowych niemowlętach i cudach poprzedzających nieuniknione nieszczęścia. Drżał przed częstemi burzami i patrzał ze strachem na kometę, któréj Neron przynosił w ofierze jakąbądź znakomitą krew [7]). Cezar pracował z zapałem dla dobra ludu; przekopywał kanały, odbudowywał cyrki i gmachy; zabezpieczał miasto od powtórnego pożaru;

---

[1]) Tacit. XV. 38.

[2]) Tacit. XV. 40. *Suet.*, Ner. XXXVIII.

[3]) *Ibid.* 40.

[4]) Patrz opis uroczystości na jeziorze Agrippy. *Tac.* 37.

[5]) *Suet.*, Ner. XXXVIII. Hoc incendium et urre Macunatiana prospectans letusque „flammae" „ist aiebat, pulchritudinem" *Dio Cass.* 62. 18.

[6]) *Tac.* 38.

[7]) *Ibid.* 47.

kazał modlić się we wszystkich świątyniach o pomyślność Rzymu, a drugą ręką odzierał Italją i prowincje z pieniędzy, Grecją z arcydzieł sztuki. Nienawiść patrycjuszów skorzystawszy z gawęd ludowych o podpaleniu miasta przez Nerona, wzrastała z każdą chwilą, i potrzeba było tylko silnéj głowy, którąby umiała zawładnąć ruchem, korzystając z tego położenia rzeczy. Lecz niestety! Jeżeli w Rzymie znajdowały się jeszcze niepodległe umysły, miały one zbyt mało odwagi, a może i wiary w powodzenie. Seneka nie chciał się wdawać w żadne intrygi polityczne, Trazeja był surowo cnotliwym człowiekiem, lecz niezdolnym na przywódzcę stronnictwa; na czele więc ruchu narodowego stanął miernych zdolności, lecz niecierpliwie znoszący jarzmo Nerona, Kajus Pizon, pochodzący ze znakomitéj rodziny Kalpurnijów. Typ Rzymianina owych czasów, Pizon nie odznaczał się ani cnotami obywatelskiemi, ani czystością obyczajów. Zepsute dziecko sybarytyzmu patrycjuszów, miał on wszystkie wady, któremi się podówczas oni odznaczali. Lecz piękny, uprzejmy, wymowny, odważny, rozrzutny i wesoły, umiał zjednać sobie popularność pospólstwa, któréj ten tylko mieć nie może, kto mało dba o nią. Stronnictwo niezadowolonych, widziało w nim człowieka, jeśli nie utalentowanego, to niezawisłego sposobu myślenia i odważnego serca, przytém sposób jego życia, niczém nie różniący się od życia innych magnatów, zaręczał za szczerość jego pobudek, i nie wzbudzał podejrzenia, jakie ma zawsze ogół do tego, co mu jest obce i nie wspólne. Stronnictwo to zresztą, oburzone na nierząd i tyranją Nerona, nie było purytańskich obyczajów, nie myślało zmieniać swych przyzwyczajeń i wyrzec się roskoszy rzymskiéj cywilizacji [1]). Pizon więc był człowiekiem, na którego zwróciły się oczy przeciwników Nerona.

Nie był on obywatelem gotowym na wszelkie ofiary dla wolności rzplitéj, a są powody przypuszczać, że nawet nie ambicja była pobudką jego działania; był więc tylko imiennym przywódzcą stronnictwa ruchu, którym kierowało kilka osobistości, między niemi — Epicharis.

Napomknienia historyków, którzy z widocznem lekceważeniem odzywają się o Pizonie, przypuszczając, że bojaźń bardziéj niż ambicja kierowała jego działalnością [2]); rozwój przedsięwzięcia, czynność Epicharis i jéj energja nawet w chwilach, gdy reszta spiskowych upadała duchem, surowe jéj badanie i zatrzymanie pod strażą, pomimo że nie znaleziono najmniejszych dowodów jéj winy; upór Aspra i Flavja, najdzielniejszych spiskowych, jasno dowodzą, że imię Pizona było tylko hasłem, na które odpowiedzieć miała większość narodu.

Stronnictwo niezadowolonych, określiło dokładnie swe dążności. Nie mogło działać ono ani systematyczną opozycją, ani w senacie, ani na ludowych zebraniach; z senatorów bowiem został tylko tłum lokajów, a ludowi trybuni, jeśli nie legalnie, to przynajmniéj de facto utracili cały swój wpływ na plebiscyt. Jedna więc tylko pozostawała droga — wojennéj rewolucji. Nie trzeba mniemać jednakowoż, żeby rewolucja mająca na celu *coup d'état*, była w Rzymie czemś przeciwném prawu i groźném dla publicznego bezpieczeństwa.

Kohorty pretorjańskie miały za sobą prawo utwierdzone zwyczajem, wybierać cezara. Jeżeliby więc Pizon lub ktokolwiek inny potrafił ich sobie zjednać, i zostałby przez nich obwołany cezarem, tém samém Neron utraciłby prawo tytułu, który w swéj zasadzie nie był ani dziedziczny, ani nawet dożywotni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) *Tac.* „Ann." XV. 48. idque pluribus probabatur, qui summum imperium non restictum nec perseverum volunt.

[2]) *Ibid.* 49. porów. XIV. 65.

LITWINKA.

Obrazek dramatyczny z czasów powstania 1863 roku,

w trzech Aktach,

napisał ***F. Łoziński.***

(Ciąg dalszy).

SCENA VII.

ZOSIA, WŁADYSŁAW.

WŁADYSŁAW. Ja nie wierzę, żeby to prawdą było, co słyszałem. W sercu nie mogła powstać nagle miłość dla takiego jak on człowieka, przybłędy, moskiewskiego kata, co jak wróg i najezdzca przyszedł deptać mogiły ojców swoich!

ZOSIA. Panie . . . .

WŁADYSŁAW. Wiem, że pani masz prawo rozporządzać swoją ręką, ja też nie powstaje przeciw temu prawu; ale chcę bronić waszego honoru, twego szczęścia pani! Do tego mam prawo! bom wasz szczery przyjaciel, bo przed chwilą ojciec przyrzekł mi twoją rękę, pani!

ZOSIA *(n. s.)*. O mój kochanku, i ja ciebie muszę utracić!

WŁADYSŁAW. Panno Zofio! patrz, przy tobie twój najserdeczniejszy przyjaciel, zaufaj jego sercu, bądź szczerą i powiedz co ciebie wiedzie do tego fatalnego postanowienia?

ZOSIA. Pozwalasz pan odwołać się do swojéj przyjaźni, więc daj jéj dowód; nie pytaj o nic, i nie skłaniaj mnie już więcéj do zmiany postanowienia, którego w żadnym razie nie zmienię.

WŁADYSŁAW. Byłbym złym przyjacielem, gdybym na takiéj odpowiedzi poprzestał, i nie ratował, dopóki mi rozum jakiekolwiek środki do tego podawać będzie.

Pani, zaklinam cię na imię matki twojéj, powiedz, kochasz Zygmunta?

ZOSIA. Zostawmy to pytanie bez odpowiedzi.

Władysław. A mnie panno Zofio czy kochasz?

Zosia *(n. s.)*. Boże! co się w mém sercu dzieje. *(głośno)* Panie Władysławie, byłabym niegodną twojéj . . . . przyjaźni, gdybym nie rozumiała boleści jaką ci ta chwila zadaje; jednak na pytanie twoje to tylko mogę odpowiedzieć: że nie zawsze własne szczęście powinno kierować sprawami życia naszego, że w rękach Boga są losy człowieka, więc Mu i nasze zostawmy.

Władysław. Jedyną sprawą mego życia, jest twoje szczęście panno Zofio; i gdybym u nóg twoich zastał człowieka godnego ciebie i wiedział że on ci szczęście zapewni, stłumiłbym boleść, choćby się serce krwawiło, a twojéj chęci oporu nie stawiał.

Ale tracić cię dla niego, tego . . . to boleść podwójna: bo dla serca i własnéj godności. Tracić cię nagle, dziś, kiedy jeszcze wczoraj w twoim głosie i spojrzeniu widziałem tyle obietnic szczęścia! Nadzieje te nie były we mnie próżnością lub chełpliwością, bo przyznasz pani, że na ich urzeczywistnienie zasłużyłem. Do starania się o to szczęście upoważniła mnie matka twoja, a że go stałem się godnym uznał dziś ojciec, przyjmując za syna. Ty o tém wszystkiém wiedziałaś oddawna panno Zofio, bo oddawna przywykłem uważać cię za moją narzeczoną, bo od dzieciństwa otaczałem cię tkliwém uczuciem, a potém miłością bez granic! W pamięci mojéj tkwią żywo te wszystkie niezapomniane chwile, kiedy prowadząc cię, małą jeszcze dzieweczkę, po polach i łąkach, uczyłem czytać tę wielką księgę cudów Bożych; widziałem jak pod ich i słów moich wrażeniem rozwijała się myśl twoja, wznosząc powoli na wyżyny ducha ludzkiego; jak w sercu wykwitały cudne kwiaty uczuć, jak nareszcie jasna twa dusza i czyste serce połączyły się w całość, pełną nadziemskiego uroku i blasku.

Boże! z jakiém ja uwielbieniem na rozwój tego cudownego kwiatka patrzałem, jak woń jego upajał wszystkie władze duszy i serca, jak we mnie zachwyt ten i miłość wzrastały!

Zosiu! ja nie wierzę, aby ten sam głos, który od dzieciństwa poruszał strunami serca twojego, potężniejszy dziś całą mocą nieskończonéj miłości mojéj, nie dochodził już do serca, które się bić na jego dźwięk nauczyło. Jakaś fatalna moc zawisła nad tobą, wyrwij się z niéj, idź za uczuciem twego serca, ono za mną przemawia!

Zosiu, ty kochasz mnie! ja wiem o tém, czytałem to w oczach twoich, widziałem w tobie całéj. O idź za tém uczuciem, nie zrywaj związków, które tak silnie złączyły serca nasze, pod okiem Boga i rodziców twoich.

(klęka). Zofio! daj rękę, daj mi życie twoje! Ja opiekę nad niém poprzysiągłem twéj matce w ostatniéj chwili jéj życia, poprzysiągłem dziś ojcu, przysięgam w téj chwili tobie, a wiesz, że można polegać na mojéj przysiędze!

(wstając gdy Zofia nie odpowiada). Wolno ci panno Zofio odrzucić ofiarę mego serca, ale nie powinnaś gardzić pomocą i radą przyjaciela. Związek o którym pani wspomniałaś jest: pomijając skłaniające cię do niego powody, tak nienaturalny, tak potworny, że na niego ojciec nigdy nie zezwoli.

Znając usposobienie ojca i pomyślawszy że już rozporządził twoją ręką pani, łatwo domyślić się możesz, jaką go to przejmie boleścią i jakich może być powodem.

Radzę więc pani, odkryć mi powód tego nagłego postanowienia, wprzód nim dojdzie do wiedzy ojca. Ze swojéj strony przysięgam na honor: że tylko dobro pani będę miał na względzie. Jeżeli ten człowiek wywiera na panią jakiś podstępny nacisk, w co mam powody wierzyć, to potrafię bez niebezpieczeństwa dla kogobądź zmusić go do ustąpienia, jeżeli zaś przyczyny będą zamiar ten usprawiedliwiały, to będę pośrednikiem do ojca, i jestem pewny że go nakłonię do życzeń pani.

Zosia. Gdybyś pan, jak prosiłam z początku rozmowy, zostawił mnie memu losowi, byłbyś oszczędził sobie przykrości, a mnie boleści, na zniesienie któréj nie wiem zkąd mi sił wystarcza. Ale i teraz mogę tylko moją pierwszą odpowiedź powtórzyć.

Władysław. Widocznie jesteś pani pod wpływem jakiegoś niepojętego wrażenia, odrzucasz pomoc i radę z zaciętym uporem, którego biedne dziecię możesz wkrótce gorzko żałować.

Żegnam panią!

Zosia *(gwałtownie)*. Idziesz pan . . . do oddziału?

Władysław. Pierwéj jeszcze do ojca.

Zosia *(z bojaźnią)*. Nie chodź pan do ojca, nie mów mu nic o mnie, zostaw mnie saméj sobie dwa tygodnie tylko, proszę, zaklinam pana na to wszystko co do mnie mówiłeś!

Władysław. Dwa tygodnie! to więcéj niż potrzeba ażeby zabić ciebie i mnie. Niech jednak będzie jak pani chcesz! Żegnam!

Zosia *(biorąc go za rękę)*. Ale pan wrócisz, — będziesz chciał wrócić — no powiedz pan, chcę wiedzieć.

Władysław. Zosiu! miéj litość nad nami!

Zosia *(z wysileniem)*. Nie, nie, idź pan, tak trzeba!

A . . . mam prośbę do pana.

(podaje mu medaljonik z Matką Boską). Ojcowie nasi, idąc na wojnę, brali jako tarczę obraz Matki Boskiéj, i pod jéj opiekę oddawali życie swoje. Weź pan to noś na sobie, poświęcany w Częstochowie, mam go od matki mojéj, będzie strzegł pana, ja modlić się tu będę.

Władysław. Wczoraj byłbym go przyjął jak świętość,

i oddał pod opiekę Boga i twojéj modlitwy życie, któreby nie moją, lecz twoją było własnością. Dziś nie przyjmuję, bo nie chcę być fałszywym i oddawać pod opiekę życie, którego nie pragnę sam, i które pojmujesz pani czemby dla mnie było. *(odchodzi).*

SCENA VIII.

ZOSIA *(sama).*

Poszedł, da się zabić, straciłam go niepowrotnie. Zrozumiał, że kiedy poważyłam się zadać sercu jego ranę tak bolesną, to już dla niego nie ma żadnéj nadziei. Boże! jak on cierpieć musi. I to ja go zabijam, ja. Oh jakaż to okropna konieczność! Ja go tak bardzo kocham. On zapełnia wszystkie chwile życia mojego, w każdéj myśli mojéj czuję wpływ jego zacnéj i szlachetnéj duszy. On to serce ożywił, nauczył go czuć, kochać! Ja też cię kocham najdroższy! każde uderzenie serca jest dla ciebie hymnem czci i najgłębszego uczucia! Wszystko coś we mnie ukochał, oddam, poświęcam szczęściu twojemu, otoczę cię staraniem i serdeczną pieszczotą, drogę życia usypię kwiatami mych uczuć, spowiję szczęściem na jakie zdobyć się może szczęście kobiety. Troski, niepokoje, krzyże życia odczuję sercem, a jeżeli ich nie zdołam usunąć, to dam współczucie, modlitwę. Władysławie!... poszedł — tam umrzeć! O wróć do mnie najdroższy! *(po zastanowieniu się).* Gdybym powiedziała słowo, użaliła się na boleść która mi serce rozdziera — zginąłby tu z pewnością z ręki tego zbójcy. Tam może go jeszcze zbawić Bóg. *(po chwili).* Boże! jak ja cierpię! Nie, ja nie zniosę takiéj boleści, to nad siły moje, serce wyrywa się do niego. On zginie! Ah! wszak on ma zginąć przezemnie, z mego powodu; zdrajca Zygmunt zagroził wszystkim śmiercią. Jeżeli ten powód usunę, oni wolni będą. — Tak! wolę umrzeć tu, niż w rękach tego tygrysa: czuję, że skonałabym przy pierwszém dotknięciu się jego. — Tak, śmierć moja zbawi ich od śmierci, a mnie od hańby! Tu w pokoju ojca jest broń — jedna chwila straszna — a za nią dla nas wszystkich zbawienie!

(biegnie do pokoju ojca, lecz cofa się przestraszona, spostrzegłszy wychodzącego ojca z Zygmuntem).

(Dalszy ciąg nastąpi).



GŁĘBOKA DROGA. (Patrz Nr 22 i 23 „Kaliny“ O nadbrzeżnych położeniach Wisły).

Teatr. — Nic niema nudniejszego w świecie, jak wdowiec, gdy wszedłszy powtórnie w związki małżeńskie, poczyna wspominać cnoty nieboszczki. — Korzyść z tego oglądania się poza siebie ta jedyna, że druga żona uważając pochwały zmarłej za *votum* nieufności dla siebie, pragnie także co prędzej przenieść się jeżeli nie na łono wieczności, to na drugie łono. — Nie chcąc być podobnymi do tego wdowca, powstrzymujemy się od wspomnienia naszych strat teatralnych; a natomiast usiłować będziemy rozkochać się w tem, co nam zostało, — poznać dokładnie cnoty i wady tych, których usunięcie się dwóch wyraźniej odsłoniło przed nami i na przedniejszym planie postawiło.

Bieda tylko, że pismo nasze za szczupłe do tej rewii artystycznej. Niepodobna jest naraz zrobić przeglądu wszystkich sił, bez zaniedbania choćby króciuchnych wzmianek o sztukach samych, bo sztuki są cięższego kalibru i milczeniem zbyć ich także nie można. Będziemy sobie więc radzili w ten sposób, że przy każdej sztuce podamy zarazem krótki pogląd na specjalne uzdolnienia występujących w niej osób, na odpowiednie im rodzaje ról — niepomijając także uwag o głosie i ruchach. Nie są to bowiem podrzędne rzeczy dla aktora. Głos i ruchy to suknie jego talentu, z nich najprzód słuchający tworzy sobie sąd o artyście, nim jeszcze pozna całą rozległość jego talentu. Tem więcej zaś na to uważać musimy, że poprzednie zaniedbanie tego rodzaju uwag, sprowadziło nam zarzut jednego z artystów, iż dopiero krytyka warszawska otworzyła mu oczy na jego błędy i wady. Krytyka krakowska widziała je także, uważała to jednak za błahy błąd w porównaniu do szerokich rozmiarów talentu artysty, i prywatnie tylko robiła mu uwagi o nieumiarkowanej modulacji głosu, o przeciąganiu ostatniej syllaby i łączeniu jej z następnym wyrazem — szczególniej w dramatach wierszowanych. Nie chcąc po raz drugi spotkać się z tego rodzaju zarzutem, ani narażać artystów, by dopiero od obcych dowiadywali się o tem czego im brakuje, będziemy z całą uwagą śledzili dodatnie i ujemne strony gry i szczegółowe robić nieraz uwagi nad pojedynczemi scenami, nad mimiką i głosem.

< Szczególniej pod względem głosu i wymowy, na scenie naszej znalazłoby się wiele usterek. Niepodobna z tego robić kardynalnego zarzutu; ale uważamy za stosowne wspomnieć o nich, boć były przykłady, że nieraz silna wola i praca, samą naturę i przyzwyczajenie pogwałcić i nad nią zapanować umiała. — Nie adresujemy tych uwag imiennie, zostawiając je domyślności artystów. Jedni z nich (a więcej może: jedne) tak w salonowej komedji jak i w patetycznych scenach dramatów, kradną kreski z nad *s*, *c*, i mówią równosć, życje i t. d., jestto przesada wymowy, która tłumaczy się po części natężeniem głosu — a wtenczas łatwiej jest przepuścić przez zęby syczącą niż spieszczoną spółgłoskę. Jest znowu jedna osóbeczka na scenie naszej, której takie pieszczoty ze słowami z łatwością przychodzą — a jednakże robią niemałą ujmę jej talentowi. Inni znowu artyści mają wymowę nosową. Tony tą drogą dobyte, w dramatach nie mogą robić wrażenia, jak również nie wiele pomaga do spotęgowania tego wrażenia, jeżeli artysta w wybitniejszych scenach silnem drganiem języka, biednej literki *r* używa do alarmowania uszów słuchaczy. Uważaliśmy także, że w takich scenach niektórzy artyści przed wymówieniem niektórych wyrazów puszczają najprzód oddech, który wychodzi mniej więcej w kształcie litery *e*. Musimy także wspomnieć o paru piskliwych głosach, które gwałtem pracować powinny nad wyrobieniem sobie wyższych tonów. >

To są mniej więcej pobieżne uwagi, jakie nam uszy podyktowały. Naszkicowaliśmy je tu ogólnie, zostawiając sobie te i inne szczegóły do rozbioru pojedynczych sztuk.

Zaczynamy od **Angelo Malipieri**. Sztuka to na wskroś romantyczna, przestarzała może, nieco w obec trzeźwych pojęć dzisiejszych czasów, szarpiąca nerwy strasznemi a wyszukanemi sytuacjami, w czem *Victor Hugo* jest mistrzem; ale dająca szerokie pole grze artystów, i dla tego pożądana w repertoarzu teatralnym. Miała ona kiedyś wielkie powodzenie na scenie, ale skompromitowała ją rzesza naśladowców, która na wzór mistrza kleciła dramatyczne dziwolągi podrzeźniające go zewnętrzną formą — przejmujące od niego maszynerję teatralną, bez zaczerpnięcia cokolwiek z potęgi jego ducha. Skompromitowano więc i zużyto formę zewnętrzną, ale dla oka głębiej patrzącego, wartość wewnętrzna tych romantycznych kreacji zostaje zawsze wielką, — i ani chłodna krytyka, ani realistyczny kierunek dzisiejszych czasów, nie zdoła zgryść i zmiażdżyć szyderstwem takich postaci jak *Angelo Malipieri*.

Jestto typ średniowiecznego tyrana, tchórz i despota zarazem; silny i żelaznej woli w obec dwóch kobiet drżących przed nim, i dwóch mnichów zginających mu się do kolan; ale dygocący ze strachu na wspomnienie rady dziesięciu, blednący za każdym szelestem. Postać ta o zaostrzonych rysach, nabiera strasznej grozy wśród ciemnego otoczenia zdarzeń, w jakich ją postawił autor. A zdarzenia są powikłane jak łuki gotyckich sklepień, krzyżują się ze sobą i tworzą przeraźliwe sytuacje.

Malipieri — tyran Padwy, kocha się w Tizbie aktorce, Tizba szaleje za Rudolfem, a ten goreje czystą idealną miłością dla żony tyrana. Domyśleć się nie trudno, jaką to zawikłanie wywołuje walkę namiętności. Do tego jeszcze wchodzi wdzięczność, jaką Tizba winna żonie tyrana za ocalenie jej matki od śmierci — i nienawiść jednego ze zbirów Rady dziesięciu dla żony tyrana za wzgardzoną miłość. Wszystkie uczucia nawiązane w tym dramacie, są naciągnięte do najwyższego kamertonu, i dla tego gra jest niesłychanie trudna. Jestto właściwością *V. Hugo*, że boleściom i radościom bohaterów swoich daje ten wysoki nastrój, który łatwo jest poczuć w duszy, ale niepodobna uwydatnić głosem lub twarzą. Są w dramatach jego straszliwe pauzy, które artysta z największem wysileniem tylko zdoła zapełnić grą swoją. Taką milczącą scenę ma Tizbe (p. Hoffman) w końcu aktu drugiego, w akcie trzecim, gdy staje między katem a ofiarą i decyduje się ocalić ją; w akcie czwartym

gdy słucha wyrzutów Rudolfa; tu autor nie dał nawet wyrazu boleści — twarzy artystki zostawił wszystko. A nie każda twarz jest zwierciadłem wrażeń duszy, i ztąd trudność wielka w oddaniu scen podobnych. — Są także w tym dramacie słowa głębokie, ciemne — słowa, których odgłos powtarza się w duszy słuchacza, jak uderzenie kamienia spadającego w studnię. Słowa takie muszą mieć osobny dźwięk— głęboki i straszny. Pani *Hoffman* za łagodnie używała tu głosu; więcéj w nim było złamanéj przekory niż tragiczności. — Pan *Benda* (Malipieri) również w téj scenie wyszedł za granice myśli autora i za gwałtownie wyraża się, że żona jego zginąć musi. Wszakżeż to postanowienie nie jest dziełem uniesienia się ale zimnéj rozwagi. Zkądże więc gwałtowna pogróżka? Tchórze despotyczni tam tylko rzucają się i grożą, gdzie widzą niemożebność czynu. Tu należało zimny spokój utrzymać.

Dwie te postacie, t. j. Tizba i Malipieri stoją na pierwszym planie. Katarzyna żona tyrana i Rudolf jéj kochanek stoją nieco poza nimi w całości dramatu; nie działają prawie — występy ich są lirycznemi ustępami miłości i cierpienia biernego; role ich prawie podobne; różnicę zrobili tu sami artyści.

Różnica ta uwydatnia się u nich i w innych dramatach. Pan *Ładnowski* przejmuje się rolą, porwany gwałtowniejszém uczuciem, jest w stanie zapomnieć się; pani *Nowakowska* nigdy się nie zapomina. W najwyższych regionach uczucia nie zapomni o poprawieniu sobie fałdów sukni, loków i t. d. I pierwsza i druga gra jest wadą, niedostatkiem na scenie. W grze p. Ł. jest p r a w d a uczucia — w grze pani N. jest usiłowanie oddania p i ę k n a uczucia; są to więc dwa rozszczepione tony, które dopiero w całości tworzą harmonję. Nie przeczymy, że boleść w życiu rzeczywistém objawia się tak jak ją p. Ł. przedstawia — ależ bo powód téj boleści jest *rzeczywisty*, dla tego widz nie śmie szyderczo krytykować brzydkiego grymasu ust syna płaczącego nad grobem ojca, ale ma prawo niewidzieć tego nieestetycznego skrzywienia tam, gdzie p. Ł. płacze nad aktorką, która po zapadnięciu kurtyny zmartwychwstanie niezawodnie. Artysta oddając rozpacz, powinien miarkować jednakże ruchy rąk o tyle, aby niemi nie pomierzwił sobie hiszpańskiéj bródki, w sposób przypominający karykatury Kostrzewskiego. To zapomnienie jest poczęści zaletą artysty; a raczéj będzie nią wtedy, gdy artysta na usługi gorącego zapału odda ruchy wystudjowane i wykończone już estetycznie. — Pani *Nowakowskiéj* musielibyśmy znów radzić więcéj *uczucia*, mniéj pozy. Mówimy tu o uczuciu na scenie, którego się nie nabywa, ale którego można się wyuczyć. Uwaga nasza ściąga się bezpośrednio do roli Katarzyny, która jest samém uczuciem w kobiecych formach — to uczucie winno objawiać się w całéj potędze, porwać artystkę, jeżeli gra jéj ma porwać widzów. Weźmy np. scenę pożegnania z Rudolfem, w któréj kochankowie kilkakrotnie rzucają się sobie w ramiona i wracają do siebie. Iluż komedjo-pisarzy zużytkowało tę scenę na wywołanie nią komicznych efektów? Jakąż więc potęgą uczucia trzeba zatrzeć to wrażenie; ileż potrzeba siły, aby publiczność zapomniała, że tak mały jest przedział między szczytnością i śmiesznością téj chwili? Była to najświetniejsza scena w grze pani Nowakowskiéj. Przedśmiertna trwoga i gorąca miłość jaką wlał autor w tę scenę, roztopiły chłodną pozę i kazały artystce zapomnieć o lokach i sukni. Ale też była to prawie jedyna chwila w grze p. Nowakowskiéj. Nie chcemy ubliżać tém jéj talentowi, ale radzibyśmy widzieć go we właściwszych mu rolach, — a jeżeli gra pani N. w roli Katarzyny nie zupełnie nas zadawalała, to deklamacji jéj jak i p. Ł. musieliśmy przyklasnąć.

Co do całości przedstawienia, ta harmonizowała zupełnie z głównemi figurami.

M.

PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

(Powódź poezji i wartość nowych utworów, geneza i nemezis naszych lirników. — „Wydanie pośmiertne pieśni i poematów Marjana Kochanowskiego.“ Kraków, nakł. S. Gralichowskiego. 1869 r. — „Poezje Piotra Frąca“ poprzedzone wspomnieniem o jego życiu, przez Wincentego Strokę. Lwów, nakład W. Stroki. 1869. — „Szkice historyczne“ napisał K. Wł. Wójcicki. Kraków. 1869.— „Dzieje narodu Polskiego“ dla ludu i młodzieży“ skreślił Józef Chociszewski. Poznań. 1869).

Żyjemy w bardzo niebezpiecznych czasach, epidemja poetyczna grasuje, i z szeregów młodziuchnego naszego pokolenia codzień to nowe porywa ofiary. Wzburzony potok uczuć wzniósł się do wysokości okien dwóch ostatnich klass gimnazjalnych i straszne sprawia tam klęski. Powywracane ławki, zatopione książki, zagłuszony szmerem marzenia głos profesorów, świadczy, że braciszkowie nauki postanowili zostać kapłanami poezji.

Piękny cel, ale środki?

Jeżeli pieśń o św. Mikołaju wykonywana chrapliwym głosem Częstochowskich dziadów może być nazwaną koncertem, to rymy tych panów nazwiemy chętnie poezją!

Smutny koniec wypadków 1863 roku i ubolewanie nad nieszczęściami ojczyzny, dostarczają wszystkim tym panom materjału, który po raz tysiączny na temat: „o straszna zbrodnio“ wyzyskują — cała różnica polega w słowach.

Przeniesienie zwłok Kazimierza W. i obchód Unii było drugim źródłem natchnień, które do samego dna, z nadwerężeniem nawet mułu i krzemyków wyczerpniętém zostało, a to tém subtelniéj, iż niektórzy nakładcy zagrzani nadzieją dobréj spekulacji, odważyli się zrobić kilka *obstalunków* pod firmą *poświęcenia się* dla dobra kraju i literatury.

Dziękujemy im za to *poświęcenie*, żałując, że nie możemy okazać im inaczéj naszéj wdzięczności, jak tylko przez polecenie ich nakładów do oprawiania świec, itd.

Republikanin *Milton* widząc poniżenie swéj ojczyzny i

kończący pierwszą Rewolucją powrót Stuarta (1660) wylał swoje żale w „Raju utraconym“ — lecz jakaż to potęga boleści i nadziei króluje w wielkiéj téj epopei.

Nasi płaczliwi lirnicy na jeden tylko lament niedołęztwa zdobyć się mogą. Wywoławszy niesmak i niechęć do czytania tego nawet, co na uwagę zasługuje, wyczerpną się szybko i pójdą powiększyć falangę *zapoznanych wielkości*. Taki ich koniec.

Wstępne nasze słowa są niejako summaryczną oceną całéj téj mnogości poezji, którą miasto rozbierania lub drukowania rzucamy do kosza; leży jednak przed nami kilka książek, o których dla różnych względów choć krótkie wzmianki należy się porobić.

Piękne i staranne wydanie zbiorku poezji Marjana Korwina Kochanowskiego, należy do tych rzadkich dzisiaj tworów fantazji poetycznéj, gdzie mimo wiecznie téj saméj treści i formy, spotykamy się przynajmniéj z rzeczywistém natchnieniem, dodatnią siłą i swobodą wierszowania. 19-letni autor dał dowód niezwykłego talentu i samoistności; jego krótki fragment dramatyczny p. t.: „Zgon cara“ jest coś tak oryginalnego, lecz zarazem tak demonicznie rozpasanego, że wyrodzić je mógł tylko chaos najgwałtowniejszych uczuć.

Ta to zapewne gwałtowność wyczerpała siły młodego autora, i rok właśnie temu wykopała przedwczesny grób dla 20-letniego młodzieńca.

Żałujemy bardzo, że tak nawet krótkich słów uznania nie możemy udzielić poezjom „Piotra Frąca“ wydanym po jego śmierci przez p. Wincentego Strokę. Żałujemy tym mocniéj, że poznawszy z załączonego do wydania obszernego życiorysu, zacne bardzo chęci i zawiązki dzielnego charakteru ś. p. Frąca, wierszom jego odmówić musimy nietylko talentu ale wszelkich nawet cech poezji. „Krzyż lacki“ jest po prostu rymowaną a rozwlekłą gadaniną, a „Paweł Przemankowski“ nie dramatem historycznym, lecz nieumiejętnie pozlepianą deklamacją kilku osób, na przeczytanie któréj konkurs należałoby rozpisać, tyle tam szlamazarności i czczych wyrazów. — Wiemy dobrze, że o utworach nieżyjących autorów najlepiéj jest nie wspominać, jeżeli jednak dziś inaczéj postępujemy, to zmusił nas do tego dziki zaiste pomysł pana Wincentego Stroki, wydawania gimnazjalnych wierszydeł i pisania życiorysu swego przyjaciela, a raczéj opisywania ile się z nim razy poróżnił i pogodził, co z sobą rozmawiali, dokąd chodzili na spacer i t. p. — Pisać dla próbowania cierpliwości papieru, to zupełnie co innego, aniżeli drukować i dawać publiczności rzecz nie przechodzącą wartości 14 arkuszy bibuły, na których p. Stroka produkuje swoje szkolne wspomnienia.

Nie wątpimy, że ś. p. Frąc był godnym uznania młodzieńcem, należało mu zatém napisać stosowny nekrolog. Publikacja zaś jego słabych próbek wierszowania, a co więcéj spisywanie wspomnień gimnazjalnego życia w gimnazjalnym stylu na 54 stronnicach, jest lekceważeniem publiczności ze strony nieznanego jéj p. Stroki, któréj przemilczeć było nam niepodobna, choćby tylko dlatego, żeby coś podobnego więcéj się nie zdarzało nawet pod pozorem dobroczynnych celów, które bez interwencji p. Stroki w miarę możności osiągnięte będą.

„Szkice historyczne“ p. *K. Wł. Wójcickiego* skreślone są pracowicie i ze znaną tego pracownika starannością. Część historyczna jakkolwiek *bardzo sucha*, odznacza się sumiennem przestudjowaniem meterjałów, zaś „wspomnienia z niedawno ubiegłéj przeszłości“ chwytane są, że tak powiemy, na gorącym uczynku, świecą zatém naturalnością i życiem.

Co do „Dziejów narodu polskiego“ pana *J. Chociszewskiego*, to polecając je najusilniéj przyjaciołom ludu naszego, radzibyśmy widywać je w każdéj biblioteczce wiejskiéj. Jestto bowiem jedna z najlepszych prac w tym kierunku, przedstawia rzecz swoją jasno, treściwie i dobitnie.

Liczne drzeworyty służą tu do łatwiejszego wrażenia w pamięć wybitniejszych faktów i postaci historycznych.

O... łe.

Korespondencja „Kaliny.“

Panu **P. Stach** we Lwowie. — Prosiliśmy już o adres dokładny — dzisiaj ponawiamy prośbę.

P. Hier. Bog. w Poznaniu. — Cieszy nas dobry humor Sz. pana. — Jeżeli szukasz pan w swoich *utworach* dowcipu, zapewniamy pana że go tam nie znajdziesz.

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: rocznie: 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c. w. a.
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Bracka, albo w księgarni J. Czecha lub F. Baumgardtena.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.
W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa,** należy przesyłać wprost do Redakcji.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

W drukarni „Czasu“ W. Kirchmayera.
Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*